Świat powieściowy.

Nr. 132 Tygodnik belletrystyczny. Rok III.

Złamany a nieugięty.

Powieść w trzech częściach.

(Ciąg dalszy)

Po bytności nowego lekarza, hrabina uczuła jakiś niewysłowiony i dawno niedoznawany niepokój. Głos jego do złudzenia przypomniał jej głos Arnolda, którego pamięć tak dziś kochała, jak niegdyś jego samego. Młoda i piękna, obdarzona bujną fantazją, nie jeden raz marzyła o miłości, której całą potęgę zaznała zaledwie na chwilę, a gdy wszędzie, gdziekolwiek się pokazała, znajdowała licznych wielbicieli, gotowych zapełnić jej życie czcze i jałowe, stawało jej zawsze w myśli widmo jedynego kochanka. Gdy jednak nawet z tą zagrobową marą żaden z żyjących nie wytrzymywał porównania, wracała napowrót do wspomnień przeszłości, do marzeń swych o Arnoldzie, i wywlekając cień jego z mogiły, żywą i rozbujałą imaginacją przyoblekała go w kształty cielesne, i snuła dalsze pasmo rozpoczętej a tak nagle przerwanej miłości.

Dotąd nikt jej ze snu tego nie zbudził. Gdyby nie sen ten uroczy, dawno by była upadłą kobietą. Męża ani kochała ani szanowała, a były nawet chwile, w których go nienawidziła. Zasady surowych obowiązków nie krępowały jej wcale, po prostu jedynym powodem jej wierności dla męża, była niewygasła miłość dla Arnolda.

Głos Dymitra Dymitrow znalazł oddźwięk w jej sercu, poruszył w niem wszystkie struny. O! gdyby był z twarzy tak podobny do Arnolda jak z głosu! Podniosła oczy na niego — niestety — podobieństwa najmniejszego!

Westchnęła głęboko i uspokoiła się wkrótce. A jednak lekarz dawno już odjechał, a ona ciągle słyszała głos jego i całą noc ani na chwilę usnąć nie mogła.

Mijały dnie i upłynęło już blisko dwa tygodnie. Hrabia uczuł niejakie polepszenie i zdawało mu się nawet, że władza do nóg powraca. Była to ułuda tylko, lecz nie mniej przeto zapragnął powtórnej wizyty znakomitego doktora.

Gdy wspomniał żonie, że kazał go telegramem zawezwać i zapewne dziś wieczornym pociągiem przyjedzie, serce uderzyło jej tak gwałtownie, że musiała je ręką przycisnąć, a rumieniec szkarłatny przemknął nie tylko po ślicznych licach, lecz zaróżowił nawet alabastrowe czoło i śnieżną szyję. Chciała coś odpowiedzieć, ale nie mogła znaleźć słowa, ni myśli zebrać. Po chwili dopiero odrzekła, iż bardzo dobrze robi, wzywając tego, który ma sławę i wzięcie.

Gdy Dymitr Dymitrow wrócił ze zwykłych swych wycieczek na miasto, do swej siedziby na Żółkiewskiem przedmieściu i posłaniec oddał mu telegram, wzywający go do chorego hrabiego, stało mu się coś, że nie mógł się podpisać, tak gwałtowne opanowało go wzruszenie. Pióro wypadło mu z ręki i długo myślał, nim przypomniał sobie własne nazwisko. Tego samego dnia wyjechał, a z uderzeniem godziny dziewiątej stanął już przed ozdobnemi kolumnami wytwornej werandy pałacu hrabstwa Delijów.

Hrabina powitała go słowami zwykłemi uprzejmej gospodyni, ale głos jej był cichy i drżący, a spojrzenie ócz czarnych, aksamitnych, było tak głębokie i palące, że z pewnością jak błyskawice mogły były oślepić wzrok młodego lekarza, gdyby nie zimne i świecące szkła, strzegące go od podobnego niebezpieczeństwa. Tym razem jednak, gdy Dymitr Dymitrow witał się z chorym, głos jego drżał jakby od zimna lub tłumionych przeróżnych uczuć. Do Pauli przemawiał zaś jakąś

taką czarowną melodją, że biedna kobieta zasłuchana, chwilami nie była w stanie odpowiedzieć, drżała z jakiejś niewytłumaczonej roskoszy, jak w śnie czarownym; podnosiła na mówiącego błagalne oczy i spotykała się nie tylko z czułem spojrzeniem, ale i z uwidomionem wspomnieniem, które jej zmysły odbierało.

Wizyty młodego lekarza często się powtarzały, a piękna hrabina po każdej z nich czuła się szczęśliwszą. Im częściej go widywała, tem znachodziła większe podobieństwo z Arnoldem. On w obec niej trzymał się zawsze w oddaleniu, ale magnetyzował ją wzrokiem, pod którym płonęła jak róża, upajał głosem, że niemal zmysły traciła, a ocknąwszy się z tego snu roskosznego, poznała ze strachem i radością, że go kocha, kocha nie jego Dymitra Dymitrow, ale w nim kocha tego, którego nie przestała nigdy kochać, że w nim kocha Arnolda!

Stan zdrowia hrabiego, na oko nie zmieniał się. Ruszyć się nie mógł, ale za staraniem lekarza zdrowie wracało, apetyt się zwiększał, siły przybywały, apatja ustępowała. Natomiast hrabinę jakby trawiła gorączka. Oczy skrzyły się iskrami brylantów, obojętność zwykła na wszystko gdzieś uciekła, chwilami śmiała się do łez, czasami płakała, a łkanie to zdawało się nerwowym, tłumionym śmiechem.

Dymitr Dymitrow regularnie co dwa tygodnie przyjeżdżał odwidzać chorego. Zmiany najbystrzejsze oko nie mogło w nim dostrzedz. Od rozmowy z hrabiną uwalniał się zwykle opatrywaniem chorych, których ubogich kazał ze wsi przywoływać i udzielał im nie tylko rad ale i lekarstw bezpłatnie. Przy tych oględzinach, gdy hrabina była obecną, posyłał jej czasami może mimowoli wzrok czuły i miłośny, który nawet zimne szkła nie zdołały ostudzić, a wtedy nieraz nie rozumiał opowiadań chorego. Niekiedy wyrażał swoje zdziwienie, że w dobrach tak rozległych nie ma ani szpitalu ani żadnej instytucji dla ulżenia nieszczęśliwym.

Mówił jej wiele i często w tym przedmiocie. Hrabina słuchała z rumieńcem wstydu na licach i rzekła mu raz głosem modlitwy:

— Dymitrze Dymitrow, jesteś lekarzem i wracasz zdrowie chorym. Ja jestem bardziej chora od tych, którzy konają w strasznych męczarniach! Uzdrów więc i mnie. Mówisz mi dużo rzeczy, o których przedtem nie słyszałam. Naucz mnie być taką, jaką być powinna kobieta według twego zdania. Pójdę za twą radą z ślepą ufnością i będę szczęśliwa!

— Szczęśliwa?! — powtórzył lekarz jakby w chwili zapomnienia i wlepił wzrok swój w Paulę. — Tak — dodał — możesz hrabino być bardzo szczęśliwa!

— Nie! nie! — zawołała teraz i rozpłakała się głośno. — Moje szczęście spoczęło na dnie Dunaju! Och! jam bardzo, bardzo nieszczęśliwa!

Dymitr Dymitrow przeszedł kilka razy lśniące parkiety salonu i głębokiem odetchnięciem zaczerpnął powietrza. Zbliżył się wreszcie do łkającej i wziąwszy jej dłoń w zimną swą rękę, rzekł tkliwie:

— Wierz mi hrabino, że spełnienie wielkich obowiązków, jakie na nas życie wkłada, równa się prawie ze szczęściem, które na ziemi znaleźć można. Opowiem ci pani kiedyś historję życia jednego z moich przyjaciół. Z niej się przekonasz, jak dalece siłą woli można zwyciężyć zbuntowane serce.

— Nie kiedyś! nie! — dziś — teraz — zaraz! Opowiedz, och! opowiedz Dymitrze Dymitrow! — zawołała z licami rozgorączkowanemi, które łzy zlewały i złożyła drobne, śliczne rączęta jak do modlitwy.

— Nie, nie dzisiaj, nie teraz, kiedyś! — odrzekł głosem stanowczym i wyszedł z salonu.

Gdy drugi raz przyjechał, był tak zajęty chorym, któremu się pogorszyło, że hrabinę zbywał tylko krótkiemi słowami, odnoszącemi się do stanu zdrowia pacjenta. Ona była prawie nieprzytomna, odpowiadała półsenna, patrzyła nie widząc, a gdy odjechał, rzuciła się na kolana, łkając i łamiąc ręce z rozpaczy.

Pomimo dwukrotnego wezwania, Dymitr Dymitrow nie przyjeżdżał. W przekonaniu jego, hrabiego choroba była nieuleczalna, a w takiem teraz stadjum, że większego polepszenia spodziewać się już nie było można.

Czerwiec miał się ku schyłkowi i upały były nie do zniesienia. Lekarz od godziny dumał w ulubionym pokoiku, gdy służący doręczył mu telegram następujący:

„Przyjeżdżaj Dymitrze Dymitrow — umieram!

Paula Delija Lemańska.“

Lekarz zbladł śmiertelnie. Wargi mu drżały z przerażenia, a serce w piersi zamarło.

Najpierwszym pociągiem odjechał.

Sądził, że zastanie hrabinę wybladłą na łożu boleści, a zobaczył ją piękniejszą jak zwykle. Gorączka rozogniła jej lica, co chwila drżenie przebiegało jej członki, a ona w ślicznym, lekkim, białym negliżu, prawdziwem arcydziele sztuki, zasianem koronkami pajęczej tkaniny, leżała na perskiej ottomance. Śliczne, złote włosy, rozsunęły się po gładkiem, alabastrowem czole i spadały na łabędzią szyję. Z pod przejrzystej zasłony przezierały krągłe ramiona, jakby wyszłe z pod dłuta Kanowy, a pierś biała falowała od gwałtownego bicia serca. Z szerokich rękawów wysuwały się obnażone ręce, zaróżowione jak i lica, a z rozpalonych ust purpurowych dobywał się oddech przyspieszony.

Dlaczego Dymitr Dymitrow zachwiał się jak pijany, gdy wszedł po raz pierwszy do jej sypialni i ujrzał w tem ubraniu i tej pozie? Dziwnie bo też była w tej chwili podobna hrabina Delija Lemańska do pięknej artystki Pauli Salden, w ów wieczór, gdy nieszczęśliwy Arnold Kohlmann po raz ostatni ją pożegnał, drżącą z roskoszy i szczęścia!

Jak oślepiony stanął lekarz na progu i oboma rękami przycisnął serce. Długą chwilę w nią się wpatrywał, a oprzytomniawszy zbliżył się powoli i rzekł głosem spokojnym:

— Stawiam się na rozkazy pani hrabiny, ciesząc się, że znajduję ją tylko w stanie lekkiej niedyspozycji. Telegram prawdziwie przestraszył mię.

— Myślałeś Dymitrze Dymitrow, że już umieram i przez litość przybyłeś? Dzięki ci za to — odpowiedziała miękkim głosem i wyciągnęła rękę, którą on wziął w swoją i trzymał długo, rachując tentno uderzającego pulsu.

— Masz gorączkę hrabino — odrzekł powoli. — Cisza i spokój przedewszystkiem — dodał.

— Cisza i spokój! — zawołała. — O to straszna ironja doktorze!

— Nie rozumiem cię hrabino.

— Prawda, nie możesz mię rozumieć, bo nie znasz mej przeszłości. Muszę ci ją przeto opowiedzieć. Siadaj Dymitrze Dymitrow, słuchaj i sądź, potępiaj lub ulituj się, stań się moim spowiednikiem i bądź jak on miłosiernym...

— Hrabino, czyż to potrzebne... — zaczął.

— O nie przerywaj mi! Muszę, muszę opowiedzieć ci wszystko, niechaj później co chce się dzieje! Choćbym miała umrzeć! Czyż śmierć straszniejsza jak życie moje?!

Popadła w bolesną zadumę, prędko się jednak z niej ocknęła i zaczęła mówić głosem cichym, srebrzystym, łzawym:

— Byłam baletniczką i bardzo szczęśliwą! Hrabia Lemański opiekował się mną i otaczał wszystkiem, o czem tylko zamarzyć mogłam. Pływałam w szczęściu, złocie, zachwycie i oklaskach publiczności. Nie kochałam nikogo. Serce me nie uderzyło, a kłamać miłość za brylanty, któremi mię obsypywano, nie mogłam i nie chciałam. Zdawała mi się sprzedaż samej siebie potworną!... Poznałam jego, Arnolda, ubogiego, pięknego medyka, uwidomioną piękność i poezję, i pokochałam go na zawsze, na wieczność! bo kocham go dziś tak samo, jak w owych dniach złotych!.. Nie wiem co się stało, dlaczego, jest to tajemnica, której rozwiązanie do szaleństwa mię doprowadza, po wieczorze spędzonym w zachwycie miłości, w upojeniu roskoszy, w uścisku nieskończonym, Arnold, on, mój Arnold, nie pokazał się więcej! Na drugi dzień generał Lemański przyszedł i powiedział mi, że utonął w Dunaju. Widział jego trupa, chciał, żebym i ja poszła i przekonała się. Myślałam, że generał go zamordował, lecz mi przysiągł, iż go nie widział wcale... To straszne! to okropne! prawda? — szepnęła.

— Okropne! — jęknął i zgrzytnął zębami blady jak trup lekarz. — Cóż dalej?

— Nie wiem... Na wieść tę skoczyłam bezwiednie do okna i rzuciłam się na bruk! Chciałam śmierci, lecz śmierć mię wziąć nie chciała. Złamałam tylko obie nogi, chorowałam ciężko i długo, cierpiałam fizycznie nie do opisania, moralnie... jak dziś!.. Generał Lemański po raz setny ofiarował mi swe nazwisko i majątek. pracować nie umiałam, baletniczką być już nie mogłam, a nędzy się bałam... Przyjęłam ofiarowane mi stanowisko. Szczęścia spodziewać się już nie mogłam, życie stało mi się obojętne, nienawistne! Myślałam, że w starym mężu znajdę oparcie i opiekę, a znalazłam w pierwszych dniach szał zwierzęcy bez wyrozumienia i litości na mój ból serdeczny, a później niesmak przeżytego człowieka, który zaspokoiwszy swoją fantazję, zobojętniał i stanął tak nisko w moich oczach, że ze wstrętem odwra-

*

cając od niego wzrok mój, rzuciłam się w wir zabaw i gwar najświetniejszych towarzystw. Oddawano mi hołd jak królowej, a ja czułam się nieszczęśliwszą od najnędzniejszej żebraczki! Otaczał mię rój wielbicieli, a ja czułam się samotną jak na pustyni! Nie mogłam zapomnieć, och nie! ani na dzień jeden, ani na godzinę! Gdybym przynajmniej wiedziała, dlaczego on przeniósł śmierć nad miłość moją?!...

Zamilkła, oparłszy głowę o poduszkę sofy i zamyśliła się głęboko.

Dymitr Dymitrow oddychał ciężko i zamglonemi oczyma gdzieś w dal spoglądał.

— Pani... — szepnął, przerywając długie milczenie.

— O! nie przerywaj mi Dymitrze Dymitrow! Dotąd byłam tylko nieszczęśliwą, teraz jestem występną! Dotąd mąż mi był obojętny, teraz stał mi się nienawistny! Dotąd kochałam trupa i byłam niewinną, ale trup powstał z grobu i przybrał postać żyjącą! Dymitrze Dymitrow, ratuj mnię, jam dziś podwójnie wiarołomna! Sprzeniewierzyłam się jako małżonka i jako kochanka! Biedna ja, och! biedna!

— Biedna! — powtórzyły jak echo usta lekarza i zapanowało znowu długie milczenie.

— Nie masz dla mnie ani słówka Dymitrze? — szepnęła cichutko — ani słówka współczucia, litości?

Dymitr Dymitrow wstał i chwiejnym krokiem przystąpiwszy do hebanowego stoliczka, na którym na srebrnej tacy stała kryształowa karafka, nalał wody do szklanki i wypił ją duszkiem

Potem stanął przed hrabiną i rzekł:

— I owszem, mam słów wiele dla ciebie pani, ale jestem lekarzem, więc słowa moje zimne jak nóż przeznaczony do boleśnych operacji. Przydadzą-ż ci się na co?

— Mów, mów co chcesz! Twój głos Dymitrze Dymitrow do złudzenia podobny do głosu Arnolda. Ty sam... ą chwile, w których szaleję, w których mi się zdaje, że duch Arnolda przybrał twoją postać!... Wiem, że to być nie może, że umarli nie wstają, a jednak, gdy ciebie słucham, gdy patrzę na ciebie, zdaje mi się... nie! ja chyba oszaleję, stracę zmysły! Z uczuciem, które wre w mej piersi, które mózg mi rozsadza, dłużej borykać się nie potrafię, nie mam sił nadludzkich!

— Miłość jest uparta — odezwał się Dymitr z smutnym uśmiechem — wyszukuje podobieństwa, gdzie ich niema wcale. Mówiłaś hrabino, że Arnold był piękny i mówisz że do mnie podobny, a ja nigdy pięknym nie byłem! Przypatrz mi się pani dobrze i odwołaj coś powiedziała.

I zdjął okulary, a w pięknych, odkrytych oczach lekarza błyszczały łzy i wyraz miłości tak silnej, że biedna Paula, patrząc w nie, nie mogła znaleźć słówka, tylko z jakimś dziecięcym strachem chwyciła go za rękę i zawołała:

— O! jakżeś podobny teraz do niego!

Ale on już znowu przysłonił oczy szkłami, napił się powtórnie wody, usiadł na dawnem miejscu i rzekł spokojnie:

— Obiecałem ci hrabino opowiedzieć historję mego przyjaciela. Historja to nie długa, a w rozdrażnieniu, w jakiem się znajdujesz, rozerwie cię może na chwilę. Chory nasz spi, mamy więc czas wolny. Czy chcesz pani, żebym ci ją opowiedział?

Paula skinęła tylko potakująco głową, a złote płomyki jej włosów rozsypały się po ramionach.

— Dziwnym zbiegiem okoliczności — zaczął lekarz — historja mego przyjaciela jest jakby drugą połową twojej hrabino. Był to młody, ładny chłopiec, z sercem gorącem i poezją w duszy. Sierota bez imienia i majątku, ubogi lecz bogaty całym zasobem pięknych nadziei w przyszłości, bogaty w skarby wiary i miłości... Młodzieniec ten poznał jak on sierotę, opłakującą śmierć całej rodziny, starszą od niego o lat kilka, i młodem, szlachetnem uczuciem przylgnął do niej. Dziewczyna była rozsądna i szlachetna, nie chciała przyjąć ofiary. Opierała się długo, ale młodzian słowami niekłamanego uczucia rozniecił w jej sercu iskrę miłości i uzyskał nadzieję. Wkrótce poszedł w świat ochoczo szukać wiedzy i nauki, która by mu dała chleb powszedni, by mógł się nim podzielić z tą, która dotąd dzieliła się z nim swem szczupłem mieniem. Gdy oddalił się od niej, zrozumiał, że uczucie jego dla niej było tylko braterskie, lecz dobrze mu z niem było, nie pragnął niczego więcej i czuł, że uczucie to wystarczy do szczęścia ich obojga i dążył do wytkniętego celu... Wtedy poznał inną... Była to dziewica olśniewająca pięknością i urokiem! Od pierwszej chwili pokochał ją, zapomniał o swych zobowiązaniach, o świecie, o wszystkiem! Pani kochałaś, więc wiesz co to znaczy miłość taka, jaką czuł mój biedny przyjaciel! Kochał i był kochany — był w niebie!.... Jednego wieczora... — tu zatrzymał się i gorąca

fala krwi uderzyła mu do głowy. Po chwili otarł chustką spocone czoło i mówił dalej: — Jednego wieczora młodzieniec wrócił do siebie pijany szczęściem i roskoszą... Ziemia znikła z przed oczu jego — uwierzył w raj na ziemi! Nierozebrany rzucił się na łóżko i przez sen szeptał ukochane imię... Zbudził się, czując na sobie wzrok jadowitej żmyi! Otworzył oczy. Przed nim stał człowiek stary z skierowanem narzędziem mordu ku piersi jego, wołając, by mu oddał kochankę lub pożegnał się z życiem!... Sądzisz pani, że młodzieniec był podłym tchórzem i zląkł się o życie? Wszak tak sądzisz pani? prawda? — a zbliżywszy się do hrabiny bladej i nieruchomej jak posąg z marmuru, chwycił jej lodowatą rękę w swe rozpalone dłonie, i — prawda? — powtórzył.

Hrabina milczała i nieporuszyła się wcale. Oczy jej tylko szeroko rozwarte, jak obłąkanym wzrokiem patrzyły na mówiącego. Ten mówił dalej głosem, który chyrczeniem jakiemś wydobywał się z ścieśnionego gardła:

— Tak. Młodzieniec zląkł się, lecz zbrodni ojcobójstwa, bo człowiek, który stał przed nim, przekonał go, iż był jego ojcem, że był tym, którego kochała jego matka, którą uwiódłszy opuścił, a dla którego nieszczęśliwa kobieta przedśmiertnym listem błagała syna o przebaczenie! Ten ojciec przyłożył narzędzie mordu do czoła i rzekł, że śmierć jego nastąpi u nóg syna i piętno Kaina wypali mu na czole. Czy młodzieniec był bardzo nikczemny, że zląkł się tego? powiedzże pani... odpowiedz na Boga! — i znowu ujął jej dłoń lodowatą.

Hrabina jednak milczała, nie zdolna głosu ze siebie wydobyć, nie zdolna słowa przemówić. Dymitr Dymitrow wypuścił jej rękę z dłoni swojej i stanąwszy przy oknie o zimne szyby chłodził rozpalone czoło. Po chwili stanął znowu przed hrabiną i mówił prędko, urywano, gorączkowo:

— Młodzieniec poddał się, zrzekł się kochanki — rozumiesz pani? — zrzekł się — to podle! wszak prawda? to nikczemnie, to strasznie! On nie miał prawa nawet ojcu oddać tę, która stała się jego na śmierć i życie! Stało się jednak!... Długie godziny siedział on i starał się zebrać rozpierzchłe myśli, lecz straszna rozpacz ubezwładniała umysł jego. Wstał później i wyszedł. Chciał iść daleko, gdziekolwiek, byle nie oddychać tem powietrzem, którem oddychała jego uwielbiona. W przechodzie stanął na moście, zapatrzył się w głębie Dunaju, zasłuchał w szum fali... W tej chwili samowiedza istnienia wróciła, myśli rozpierzchłe skupiły się w jednem ognisku, a tem ogniskiem było pragnienie śmierci... Przypomniał sobie, że można znaleźć zapomnienie na dnie Dunaju, a w mniej jak sekundę ozwał się plusk wpadającego jego ciała w zdradnie wabiące nurty rzeki...

W tej chwili piękna główka hrabiny upadła na poduszkę, a z piersi wydała głos do ryku zranionego zwierzęcia podobny. Dymitr Dymitrow umaczał swoją chustkę w wodzie i zwilżył nią jej skronie, przyczem dwie łzy palące męzką powiekę spadły na marmurowe jej czoło. Stał przy niej blisko i mówił dalej:

— Młodzieniec nie wart był nawet śmierci, gdyż jej nie znalazł...

W tej chwili hrabina jak prądem galwanicznym z miejsca wyrzucona stanęła na nogi. Usta jej były blade jak twarz cała, ręce wzniesione, oczy szeroko otwarte wpiły się w oblicze opowiadającego, a rozwarte usteczka szeptały jakieś niezrozumiałe słowa.

— Młodzieniec nie znalazł śmierci której szukał... — mówił Dymitr dalej cicho i wolno. — Ale siadaj hrabino i uspokój się. Ręce twe rozpalone jak ogień, a skronie jak lód zimne. To przeszłości dawno ubiegłej opowiadanie — pamiętaj o tem. Czy chcesz abym ci dalej opowiadał historję mojego przyjaciela?

(Ciąg dalszy nastąpi)

Spadek po wuju Hieronimie.

(Dokończenie).

Uwolniła pierwsza ręce z uścisku gorączkowego, i jeszcze silniej szkarłatem spłonęła, jakby trochę zażenowana. Było to jednak uczucie przelotne... wkrótce usiadła z dawną serdeczną powagą obok proboszcza na kanapce. Była jeszcze cała pod wpływem tryumfu podwójnego, uniesiona, upojona najwyższą radością! Mówiła długo, długo, bez związku, bez ładu, mięszając wszystko razem: łzy i uśmiech, wspomnienie dawne z nadziejami świeżo zakwitłemi... On słuchał jak we śnie... czasem tylko chwytał uchem chciwie słowa czarowne: „sława, powodzenie, majątek...“ Majątek już posiadał, sławę mógł z łatwością pozyskać. Potrzebował

tylko zdradzić swoje *incognito*, przed domagającą się gwałtownie publicznością, a otworzy się przed nim przyszłość świetna, która ziści jego najśmielsze marzenia, dogodzi jego pragnieniom, uwolni go od więzów nieznośnych, narzuconych mu przez obcą wolę. Czyż nie sam Bóg kieruje jego krokami, skoro tak niespodzianie zsyła mu wielką fortunę?... Potrzebuje tylko dłoń wyciągnąć, a znajdzie wszelkie życia roskosze... Wszak tu jest ognisko, w którem brakuje męża, ojca... jest towarzyszka, jakby dla niego stworzona! kobieta zacna, uczciwa, przytem artystka natchniona, która pomoże mu skrzydła orle do lotu rozwinąć, która z nim razem potrafi wznieść się w sfery nadziemskie... Ona da mu swój talent, on jej swoim majątkiem zapewni byt materjalny, zdejmie z czoła wszelką troskę o jutro...

Przymknął powieki... porywał go wir szalony, bo też był w tej chwili człowiekiem, lęcącym w przepaść bezdenną, która za chwilę ma pochłonąć jego wolę, zamysły, zasady, unicestwić wszystko, w co dotąd wierzył, przemienić jednem słowem: w odstępcę nikczemnego!... I nie zawahał się w szale dzikim, gotów był zerwać mosty za sobą... i zaczął mówić...

Wzruszenie gwałtowne za gardło go chwytało, a język ubezwładniając myśli mięszało... Jakiś lęk dziwny, niepojęty, jakaś siła niewidzialna, wstrzymywała na ustach drżących wyznanie ostateczne...

Alicja słuchała z uwagą słów jego ciemnych, zagmatwanych, niby *Sfinksa* wyroczni, dziwiąc się tej mowie tak niejasnej, która jednak podrażniła jej ciekawość, dotykając kwestji najżywotniejszych, jakiemi są: miłość, ognisko domowe, roskosze chwil na łonie rodziny spędzonych... Widząc, że plącze się coraz bardziej, i wyjść nie może z labiryntu, z uśmieszkiem figlarnym zapragnęła przyjść mu w pomoc i z kłopotu wybawić.

— Ileż trudu zadajecie sobie kochany proboszczu, i jak to zaraz poznać, że wam obce kwestje podobne!... Wyznaję szczerze, iż kazania waszego nic a nic nie rozumiem!... Grajmyż kartami otwartemi, czy zgoda?... Adolf prosił was o pośrednictwo, przewidując, iż będziecie sprawy jego bronili zawzięcie, a ja w dniu tak szczęśliwym, nie potrafię odmówić wam niczego?... Nie wypierajcie się proboszczu i nie udawajcie zdziwionego.... Skoro wam powierzył część naszej tajemnicy, wyznam wszystko... Nie szukam w tem rady serdecznego przyjaciela, ale oddaję sprawę moją pod sąd kapłana, który nawykł roztrząsać sumienia i badać głębię serc ludzkich... Już wtedy, w ciszy uroczystej waszego skromnego kościółka, przyszła mi była myśl, wylać przed wami troski moje... Bądź więc ojcze moim spowiednikiem, i jako pokornej penitentce wytycz drogę, którą ma nadal postępować...

Uniesiona wspomnieniami lat dziecięcych i matki, osoby niesłychanie religijnej, usunęła się na kolana, obok kanapy na jedną z poduszek, służących za podnóżki. On jęknął głucho, jak piorunem rażony, i twarz ukrył w drżących dłoniach... Okropne przebudzenie!... Zapomniał w grzesznym obłędzie o świętem kapłana powołaniu, o przysiędze krępującej go na wieki!... I to sama Alicja musiała mu godność jego przypomnieć! Niczego nie odgadywała, nawet na myśl jej nie przyszło, że pod księdza sutanną może bić serce człowieka!

Z rzewną prostotą opowiedziała dzieje ich miłości. Adolf kocha ją oddawna i jest nawzajem kochany. Nadaremnie jednak błaga ją usilnie, aby z nim połączyła się węzłem małżeńskim; trudno jej się na coś podobnego zdecydować. Lęka się widma nędzy, nie dla siebie, ale dla dwojga sierót, które jej mąż pierwszy zostawił. Postanowienie nieodwołalne, iż więcej nie wstąpi na deski teatralne, zmniejszyło znacznie jej dochody. Co do Adolfa, nie wybił się dotąd po nad mierność najpospolitszą, położenie jego jest bardzo przykre, cięży na nim jakaś dziwna fatalność, nie okazał dotąd ani owego talentu olbrzymiego, który jednym zamachem obala wszelkie zapory, ani owej mrówczej wytrwałości, która wolniej wprawdzie, ale ten sam cel osiąga... Przedstawienie Holofernesa ściągnęło na Adolfa uwagę ogółu... nazwisko jego stało się cokolwiek głośniejszem... dostał niektóre dość korzystne zamówienia... ponowił zatem prośbę namiętną, której ona uznała za stosowne i teraz odmówić... Serce jej atoli broni energicznie sprawy ukochanego, przeciw zimnemu i nieubłaganemu rozumowi; nadeszła chwila stanowcza; od wyniku walki, którą stacza, zawisł los i szczęście dwojga ludzi... Czyż powinna, czyż może, poświęcając się li matki obowiązkom, złamać i zdeptać, nie tylko serce własne, ale i serce tego, który w niej widzi całą przyszłość swoją, ziszczenie najmilszych nadziei?...

Umilkła... ksiądz siedział dotąd skamieniały, ani jednem słowem jej nie przerywając. Podniósł wreszcie głowę i odkrył twarz bladą śmiertelnie. Na skroniach widać było znaki sine od paznokci, które wpiły się w ciało kurczowo.

— Zobaczę tego... którego pani kochasz... Pomówię z nim... Będziesz szczęśliwą!...

Krokiem chwiejnym zbliżył się do okna, opierając o zimną szybę czoło rozpalone. Odwrócił się nagle i bąknął krótko, ku drzwiom zmierzając.

— Żegnam panią...

— Jedziecie księże proboszczu?!...

— Muszę!

— Przecież była mowa, że tu na Adolfa poczekacie!... Za chwilę przybędzie... Cóż się to stało? Czyżbym bezwiednie rozgniewała was proboszczu kochany?

Skoczyła żywo, żeby mu od drzwi drogę zastąpić, ale ją wyprzedził, jeszcze raz suche „żegnam!“ głucho z piersi ścieśnionej wyrzuciwszy.

W przedpokoju bawili się dwaj chłopcy, przez matkę z salonu wyprawieni. Porzucili cacka i zabawki, aby pożegnać dobrego swojego przyjaciela. Ze łzami w oczach ujął ich w ramiona, chcąc serdecznie do łona przycisnąć... Widocznie namyślił się inaczej, gdyż zamiast uścisnąć, odepchnął dzieci z gniewem i pędem zbiegł po schodach...

Zaledwie wyszedł na ulicę, spostrzegł o kilka kroków Adolfa Martin. Skrył się czemprędzej za wystawę magazynu, i do muru przyciśnięty, czekał, aż go minie. Zajęty czem innem, nie spostrzegł go Adolf; zawinąwszy się płaszczem po same uszy, kroczył śmiało naprzód, pogwizdując jakąś arietkę. Musiał śnić błogo o roskosznej u boku Alicji przyszłości, i to go czyniło tak wyzywająco wesołym!

VI.

Pociąg ostatni odszedł od godziny, gdy ksiądz Jan pokazał się na dworcu kolei. Teraz dopiero, z sercem trwogą ściśniętem, pomyślał, jak święte zaniedba obowiązki! Jakto?! Sygnaturka wezwie jutro z rana wiernych na mszę, a ołtarz będzie stał pustką?... Ktoś z parafianów na świat przybywający, lub ze świata schodzący, zapotrzebuje Sakramentów, a nie będzie ich komu udzielić?... Ta postać czarna, snująca się po peronie z widocznym niepokojem, zwróciła wreszcie ogólną uwagę. Proboszcz spotykał spojrzenia badawcze, słyszał w koło siebie szepty złośliwe. Z rumieńcem wstydu na czole, udał się wreszcie po radę do urzędników kolei, wyznawszy im szczerze swój kłopot i winę bezwiednie popełnioną. Trafił szczęśliwie na ludzi zacnych, umiejących postawić się na jego miejscu. Po dłuższym namyśle, wypisali mu cały plan podróży pociągami ciężarowymi, na co nie tylko trzeba było noc całą poświęcić, ale z dziesięć razy przesiadać się z woza na wóz i na każdej stacji czekać godzinami. Ksiądz Jan podjął się bez wahania tej Odyssei nowego rodzaju.

Zmęczenie fizyczne opanowało wreszcie nerwów ekscytację i ból moralny, serce na wskróś przenikający. Pozostał li niepokój gorączkowy, czy stanie na czas w parafji swojej.

Brzask ranny niebo od wschodu lekko zarumienił, gdy ksiądz Jan do drzwi zastukał. Panna Franciszka noc całą nie kładła się nawet, czekając na bratanka w trwodze śmiertelnej. Dowody jej serdecznej troskliwości, aczkolwiek trochę burzliwe i szalone, rozrzewniły księdza Jana do głębi. Rozpłakał się jak małe dziecko i łzy mu w bolu serce krwawiącym znaczną ulgę przyniosły. Wspomniał ciotce nawiasem w kilku słowach o tryumfie odniesionym, ale tonem tak obojętnym, jakby to nie jego się tyczyło; wytłumaczył cokolwiek nieszczęsne spóźnienie i mimo zmęczenia, które go niemal z nóg waliło, zamiast spocząć po trudach bodaj na chwilkę, porwał z kołka klucz duży i pobiegł zamknąć się w kościele.

Gdy posługacz wszedł przez zakrystję o zwykłej godzinie aby do mszy wszystko przygotować, zastał proboszcza klęczącego na stopniach wielkiego ołtarza i zapatrzonego w Pana Jezusa okiem błędnem i wilgotnem.

Panna Franciszka czekała końca mszy z sercem bijącem, aby czegoś więcej się dowiedzieć. Ciekawość jej atoli miała być ponownie na ciężką próbę wystawioną, bo zanim ksiądz ołtarz opuścił, wpadł ktoś do zakrystji, wzywając go do Róży Margot, z prośbą o udzielenie ostatnich sakramentów. Udał się do niej wprost z kościoła.

Koło południa dopiero zjawił się na probostwie blady, znękany, z twarzą chmurną i ponurą.

— Umarła? — spytała ciotka skwapliwie.

— Dogorywa! — szepnął głucho. — Byłem przy niej póki nie straciła przytomności... Bądź ciotka tak dobra i pójdź do zakrystjana aby zadzwonił, tak, jak to jest u nas w zwyczaju, gdy ktoś ma ciężkie konanie!..

— Jakto?... Dla takiej jak Margotta ło...

— Rób ciotka to, co każę! — ksiądz wpadł jej w słowo tonem groźnym — i! nie waż się wydawać sądów o tem, czego nie rozumiesz!

Oddaliła się w najgorszym humorze, mrucząc z cicha. Błoto było po kostki, brnęła w niem jednak przerażona ostrym księdza rozkazem.

Nagle odezwał się w jej sercu ów głos węża kusiciela, który w chwilach najwyższego oburzenia, zwykł był prowadzić z panną Franciszką tajemne rozmowy:

— Ba! Czemże się tak irytujesz? Wezmą raz djabli Margottę jak swoją, tem lepiej! szczęśliwej drogi! Księdza opuści jego zły duch. Zawładniesz nim znowu bez podziału i wypędzisz mu z głowy wszystkie zachcianki niepotrzebne, któremi Margotta go karmiła i w nim podsycała. Śmiej się tylko z miłosierdzia chrześcijańskiego, o którem ci wiecznie prawi!... każ jej dzwonić, każ! co ci to szkodzi?! Dla ciebie to będzie dźwięk radośny... na twojem miejscu zamiast mruczeć jak niedźwiedź pod nosem, potańczyłbym sobie, podskoczył wesoło!...

Były to, ma się rozumieć, podszepty szatana i ciotunia uwolniła się od nich czemprędzej potrójnym znakiem krzyża św. Nie mniej jednak uznała, iż zawierają w sobie wiele zdań mądrych. Wykonawszy zatem polecenie, wracała krokiem lekkim, nie tańcząc wprawdzie, ale z uśmiechem zadowolenia na ustach wązkich, złośliwie zaciśniętych.

Widmo Margotty, gdyby jej się ukazało, nie było by jej z pewnością więcej przeraziło, niż widok, który zatrzymał ją na progu, martwą niemal ze świętej grozy. Na kanapce w saloniku, rozsiadł się Adolf Martin, wszystkie kłębki i kłębuszki, leżały porozrzucane na stole i pod stołem, a w jej własnym koszyku mieścił się stos piśmideł bezbożnych! Bo czyż taki Antychryst mógł z sobą przywieźć co innego? Bez najmniejszego zakłopotania przywitał się z ciotunią, jakby ją znał od stu lat i przemówił wesoło, z zuchwałą familjarnością:

— W sam czas jawisz nam się pani, siadaj zatem i słuchaj. Miałem właśnie zacząć czytać szanownemu proboszczowi to, co prasa dzisiejsza naplotła o jego Holofernesie. Muszę jednak zacząć od oskarżenia go przed panią, żebyś bratankowi dała porządną admonicję. A to tchórz osobliwszego nabożeństwa! Bierze nogi za pas, i ucieka na całą noc przed tryumfami, jak inni

przed najgroźniejszem niebezpieczeństwem! I oto byłem zmuszony objuczyć się tym całym ciężarem i przywieźć niewdzięcznikowi do domu, skoro nie chciał poczekać na te dowody uznania w Paryżu. Zobaczy pani jak go sławią i w siódme niebo podnoszą... Baczność!... rozpoczynam!...

W każdym innym wypadku, byłaby potrafiła skarcić surowo zbytnią poufałość zuchwałego intruza. Rzuciwszy mu słów kilka pogardliwych, byłaby mu plecy poprostu pokazała, chroniąc się przed napaścią wraz z koszykiem i kłębuszkami sprofanowanemi do swojego Tusculum niedostępnego. Tym razem wrodzona ciekawość stłumiła słuszne oburzenie. Dowie się więc ze szczegółami o tem, co się wczoraj działo! Nadzieja zresztą, iż pozbędzie się niebezpiecznej rywalki, odwagą bohaterską duszę jej przejmowała. Usiadła zatem w przyzwoitem oddaleniu od Antychrysta i słuch wytężyła.

Odczytał ze sześć rozmaitych sprawozdań, a w każdem witano nowego kompozytora niby jasną gwiazdę na sztuki horyzoncie, prorokując mu wielkie posłannictwo, robiąc z niego nieledwie Messjasza, który zapełni luki po mistrzach olbrzymach, dotąd przez nikogo w dziedzinie muzyki dramatycznej nie zastąpionych.

— Widzicie państwo! słyszycie! — wołał Adolf, wpadając w zapał coraz większy. — Zwycięztwo na całej linji! Jutro wszystkie teatra liryczne, staną ci w Paryżu otworem! wszyscy dyrektorowie padną ci plackiem do nóg proboszczu!

Uśmiech smętny przebiegł po bladych ustach księdza Jana.

— Mówisz mi pan o teatrze i operze. Zapomniałeś kim jestem!...

— Do stu katów! to prawda! Cóż chcesz proboszczu kochany! biorę cię za jednego z naszych. Stawiam się na twojem miejscu, a właściwie ciebie na mojem... Czemuż nie jestem autorem Holofernesa, ja, któremu teatr nie jest zakazanym, którego przeciwnie jest celem jedynym i najwyższym!... Mniejsza o to! Jeżeli już nie opery, to będziesz pisał dramaty liryczne, oratorja... Cały świat drży z niecierpliwości, żeby usłyszeć drugie twoje dzieło... Wymagają tego od ciebie proboszczu koniecznie!

Znowu czytać zaczął. Ciotka śledziła na twarzy księdza wrażenie, jakie te wiadomości na niego wywierają. Powoli wygładzało mu się czoło ponuro zmarszczone, rysy miękły i oczy mu tryumfem zabłysły. I w jej umyśle dziwny przewrót następował. Ksiądz Jan był więc muzykiem genjalnym! Nie dziwiła się już teraz słabości, z jaką poddawał się radom i namowom przyjaciół paryzkich, sama nawet nie miała serca potępić go, że nie potrafił oprzeć się tak słodkiej pokusie.

Odezwał się smętnie dzwon kościelny. Proboszcz spuścił głowę na piersi i ręce złożył jak do modlitwy.

— Margotta kona — szepnął. — Módlmy się za nią.

— Rózia Margott?... Oh! biedaczka!

Po tych krótkich słowach, dawnej znajomej poświęconych, Adolf chciał dalej czytać. Ksiądz wstrzymał go jednak ruchem łagodnym lecz pełnym stanowczej powagi.

— Dajmy temu pokój!... to daremne!

Jasność, która była na chwilę zstąpiła na czoło księdza Jana, niknęła w miarę jak odzywał się głos dzwonu ponury. Zdawało się jakby dźwięk ten smętny, przerwał mu sen roskoszny i zwracał myśl jego ku nagiej, wstrętnej rzeczywistości. Czy przeczucie nie omyliło panny Franciszki? Razem z Margottą pójdzie do grobu i ów szał nieszczęsny, który wznieciła w sercu księdza i podsycała bezbożnemi namowami?

— Niepotrzebnie się pan trudzisz — przemówił ksiądz po chwili, widząc nieme zdziwienie Adolfa, tonem spokojnym ale śmiertelnie smutnym — tracimy tylko czas, który dla pana jest skarbem nieocenionym. Uległem pokusie nader niebezpiecznej, przystając na przedstawienie publiczne dzieła, którem zapełniłem chwil kilka w życiu. Raz mogłem dogodzić fantazji artysty, więcej jednak prób takich powtarzać nie myślę.

— Co mówisz proboszczu? Nie dasz się więc poznać?

— Nie!

— Ależ to czysta niedorzeczność!

— Postanowienie moje jest niezłomne.

— Nie mówiłeś tak wczoraj, gdy powodzenie było jeszcze wątpliwem!

— Od wczoraj... namyśliłem się inaczej... przyszło mi z góry natchnienie...

— Słowa twoje proboszczu są dla mnie równie zawiłe jak Sfinksa wyrocznie!

— Daremnie starałbym się panu słowa moje wytłumaczyć. Nie zrozumiałbyś ich. Jeszcze raz powtarzam, że to, co postanowiłem, jest nieodwołalnem.

— Jakto? tyle pracy ma pójść na marne?... Tak wielkie zwycięztwo zostanie bezpłodnem?!...

— Tak źle nie będzie... Powiedziałeś pan przed chwilą, że jutro, gdybym chciał tylko, wszystkie teatra liryczne w Paryżu, stanęły by dla mnie otworem... Od jutra pan będziesz twórcą Holofernesa...

— Ja?!... Chcesz proboszczu, żebym się na twojem dziele podpisał?!...

— Błagam pana o to i.. żądam tego...

— Ejże!... żarty niewczesne!... Czy uważacie mnie proboszczu za człowieka uczciwego, czy nie?... Otóż pozwólcie sobie powiedzieć, że to co mi proponujecie, byłoby prostą nikczemnością!

— Frazes!... nic więcej! Zostawiam panu honor i pożytek z powodzenia, które w zupełności stworzyłeś... Tobie zatem należy się z prawa ojcostwo dzieła, które ty jedynie do życia powołałeś, uwalniając z głębi szuflady, gdzie ja sam byłbym je zamknął na zawsze. Do ciebie więc należy. Ja się więcej do tego nie przyznaję... chcę o tem wszystkiem, jak o śnie zwodniczym zapomnieć. Już i tak wiele głosów uznało pana twórcą dzieła, jak to sam przed chwilą czytałeś.

— Obowiązek nakazuje mi odwołać mylne pogłoski.

Jutro zaraz najenergiczniej zaprotestuję przeciw temu nadużyciu mojego nazwiska.

— Nie uczynisz pan tego!.. nie uczynisz przez wzgląd na kobietę, którą kochasz i przez którą jesteś nawzajem kochany...

— Alicja?!... Jakto?... wiecie już proboszczu?...

— Wiem wszystko!... Sama mi wyznała... Dla księdza nie ma się tajemnic.... ksiądz, to przecie nie człowiek!

Adolf wzruszony do głębi nie zauważył gorżkiej ironji, z którą te słowa wymówione były. Milczenie zapanowało. Proboszcz wysiłkiem nadludzkim potrafił stłumić burzę sercem miotającą.

— Wysłuchałem wczoraj wieczór zwierzeń pani Cavalier — rzekł po chwili tonem lodowatym. — Od pana zależy dać jej szczęście, na które pod każdym względem zasłużyła. Dla niej zbierz pan owoce naszego wspólnego zwycięstwa, a przyjmie bez skrupułów i bez trwogi na przyszłość związek powtórny, którego i jej serce pragnie. Skoro mnie nie wolno z tryumfu korzystać, niechże mam przynajmniej to błogie przekonanie, żem się w czemś przyczynił do utrwalenia losu i szczęścia ziemskiego dwojga ludzi. To będzie mi jedyną pociechą; nie odmawiaj-że mi jej pan! Zwycięstwo i powodzenie na nowe tory pana wprowadzą, natchną cię siłą twórczą, która wkrótce wyda dzieła własne, stokroć większej niż Holofernes wartości, a gdy staniesz u szczytu sławy, pierwszy szczebel zginie w otchłani, zatrze się nawet w twojej pamięci...

Znowu głucha cisza zaległa; Adolf dumał trąc czoło zawzięcie.

— Nie! Nie! Nie mogę na to przystać! Honor, uczciwość, sama Alicja zakazała by mi czynu, który zhańbił by mnie w oczach własnych!

Ksiądz powstał dumnie głowę podnosząc. Wzrokiem gniewnym spiorunował mówiącego, a głos drżał mu oburzeniem, którego dłużej ukryć nie zdołał:

— Otóż to jedyny motor czynów waszych nędzni Pigmejczycy! Głupia pycha, próżność i zarozumiałość! I wam się zdaje, że kochać potraficie, samoluby?! Wyście tylko Ja własne ukochali i wszystko gotowiście poświęcić na pastwę temu Molochowi próżności! Czy wiesz pan, że gdybym mógł kochać, gdybym był jednym z tych, którym przysłuża prawo sięgnąć dłonią śmiałą po dobro najwyższe, po miłość takiej jak Alicja kobiety, byłbym gotów stoczyć walkę z światem całym, poświęcić wszystko co mi dotąd drogiem było, cisnąć jej nieledwie pod nogi... przysięgę kapłańską! i...

Urwał nagle. Wzrok jego padł na bladą i skamieniałą z przerażenia ciotkę, o której bytności zapomniał całkowicie. Skinął jej głową uspokajająco i rzekł tonem łagodnym:

— Zostaw nas ciotko Franciszko... Poproszę cię później...

Usłuchała go bez wahania. Dość i tak słyszała niestety! Słusznie mówił. Nie ma tam miejsca dla niej, gdzie o takich strasznych rzeczach rozprawiają!

Z sercem przejętem trwogą śmiertelną, nie doszła nawet tym razem do swojego pokoju, tylko po drodze w kuchni na krzesło upadła bezwładnie. Dochodziły aż tu do niej, głośniejsze wykrzykniki. Jasność błyskawiczna, rozdarła nagle ciemności i wątpliwości dotąd jej umysł mroczące.

Gdy po dobrej godzinie usłyszała wreszcie kroki Adolfa Martin na ścieżce przed domem, zerwała się na równe nogi, wpadając jak bomba do saloniku. Ksiądz Jan siedział przed kominkiem, w którym buchały płomienie podsycane ręką szczypcami uzbrojoną i stosem papierów, które proboszcz rzucał gniewnie w sam środek ogniska.

— I cóż? — spytała głosem drżącym.

Ksiądz bąknął zimno, nie czekając, żeby pytanie bliżej określiła:

— Odmawia dotąd... dla formy tylko... jutro przystanie, jestem tego pewny! Kocha ją przecież!

Panna Franciszka oniemiała i stała dalej jak posąg nieruchoma. Zrozumiała, że cierpi, a nie wiedziała jak i czem by go mogła pocieszyć. Pamięć słów przed chwilą wymówionych, prześladowała ją niby widmo złowrogie, serce jej bolem się ściskało; mimo niewielkiego w tym kierunku doświadczenia, przeczucie jej mówiło, iż w tej biednej duszy odegrał się jakiś dramat straszliwy.

Wyciągnęła dłoń błagalną do ostatnich kilku numerów, które czekały jeszcze na całopalenie.

— Daruj mi je! — szepnęła nieśmiało. — Radabym więcej jeszcze dowiedzieć się o tem, co o tobie napisano.

Porwał papiery ruchem gwałtownym i cisnął w płomienie.

— Nie!... Nie chcę!... Rozumiesz?! Nigdy mi więcej o tem nie wspominaj!... Przenigdy!...

Dzwon, który był ustał na chwilę, odezwał się ponownie, ale dźwiękiem głuchym, jeszcze o wiele smętniejszym niż za pierwszym razem. Ksiądz Jan wpatrzył się ponuro w płomień dogasający i w ostatnie szczątki papierów spalonych, które w otwór komina ulatywały. Wtem zwrócił się do ciotki.

— Skonała biedna Rózia!... pochowamy ją pojutrze. Napiszesz do budowniczego, żeby przyjeżdżał natychmiast. Skoro skończę z pogrzebem, weźmiemy się do planu, który ci przysłał.

— Uratowany! — ciotka cicho wymówiła, wznosząc w górę wzrok dziękczynny.

Westchnął ciężko.

— Ciesz się ciotko Franciszko! Zbudujemy świątynię okazałą! Trzeba przecież użyć na coś spadku po wuju Hieronimie.

Alfa.

KONIEC.

Tajemnice wielkiego świata.

CZĘŚĆ TRZECIA.

DZIEDZICTWO CORINNY.

(Ciąg dalszy.)

I.

Jest jedna osoba w naszej powieści, o której jużeśmy dawno nie mówili. Jest nią ładna aktorka Paulina Régis, która tak bardzo się kochała w Manuelu de Maugeville.

Paulina nie wiedziała nic zupełnie co zaszło od miesiąca.

Paryż jest wielkiem miastem, gdzie mieszają się i nikną wszystkie wieści. Zaledwie kiedy niekiedy jakiś dziennik powtórzy urywkowo o zbrodni lub jakiem porwaniu wydarzonem na prowincji, wyjmując to zdarzenie z dzienników prowincjonalnych.

Nazajutrz już nikt o tem nie mówi.

Paulina żyła w odosobnieniu zupełnem od miesiąca.

Nie czytywała dzienników, nie występowała w teatrze, nie chodziła na próby, a zatem i do teatru.

Mieszkanie jej było zamknięte dla odwidzających i nakaz był ściśle wykonywany.

Młoda kobieta mówiła do siebie:

— Mam serce rozdarte, a jedynem mojem lekarstwem jest czas. Nie chcę mówić z nikim i nie chcę aby kto mówił do mnie. Jeżeli wyleczę się kiedy, pokażę się w tym świecie, który zapomina tak prędko i który o mnie już prawie zapomniał.

Wiadomo, że Corinnie na jakiś czas przed wyjazdem do Rochepinte, udało się mimo zakazu dostać do Pauliny.

I przypominają sobie pewnie piękne czytelniczki, że podczas gdy obie przyjaciółki siedziały przy śniadaniu, okno otworzyło się na trzeciem piątrze w domu sąsiedniem z drugiej strony ulicy, i że nagle Corinna zdumiona spostrzegła w tem oknie pana de Villenave, odurzonego i ogłupiałego.

Wiemy co się stało potem, ale Paulina nic nie wiedziała.

Od tego dnia nie widziała się z Corinną, ani też Corinna do niej nie pisała.

Zerwawszy jednak po większej części wszystkie stosunki i nie pokazując się ani w lasku, na wyścigach, lub spacerach, Paulina nie skazała się jednak na wieczne zamknięcie.

Niekiedy wieczorem, osłonięta gęstą woalką, wsiadała do dorożki, i przejeżdżała się by odetchnąć świeżem powietrzem.

To znowu wychodziła raniutko, szła pieszo do ujeżdżalni na ulicy Duphot, która jest obok ulicy Caumartin, brała konia i jeździła na spacer daleko.

To były jedyne rozrywki. Zresztą była ciągle w domu i pracowała.

Otóż pewnego poranku, gdy przejeżdżała konno przez długą aleję de Longchamp, kierując się w jedną z bocznych drożyn, tak ładnych, a tak mało uczęszczanych, usłyszała wymówione swe imię:

— Paulino! — wołał głos kobiecy.

Paulina zatrzymała się i spostrzegła w bocznej drożynie, naprzeciw tej, w którą się skierowała, amazonkę jadącą na koniu.

Zatrzymała się i poznała jedną ze swoich koleżanek.

Była to dawna aktorka z teatru „Rozmaitości“, która nie mając talentu i długo próbując swej karjery na deskach teatralnych, namyśliła się inaczej i wstąpiła do cyrku.

Florina, było to jej imię, jeździła ładnie na koniu, przeskakiwała przez obręcze oklejone papierem, powoziła wózkami, przedstawiała rozmaite boginie mitologiczne i przeskakiwała z konia na koń.

W rannej porze jeździła dla swej przyjemności. Florina była jak to mówią w modzie, miała bogate pomieszkanie, konie i powóz, a za przyjaciela grubego bankiera holenderskiego, który rujnował się dla niej, pod pretekstem, że lubił piękne kobiety, a Florina była majestatycznem stworzeniem.

Ta tłusta kobieta, którą nieraz wygwizdano w teatrze, gdy się tylko podjęła troszkę większej roli, była wcale dowcipną.

Humor miała niezrównany, wesoła i trochę trzpiotowata, wstęp miała wszędzie do tak zwanego świata birbanckiego.

Florina bywała wszędzie, wiedziała wszystko, wszystko słyszała.

Paulina nie żyła wcale z nią, ale jeżeli się spotkały, kłaniały się sobie uprzejmie.

— Paulino! — powtórzyła Florina, i skierowawszy konia, zbliżyła się do Pauliny.

Ta podała jej rękę.

— Jak się masz! — rzekła Florina, która wszystkim ty mówiła.

— Dość dobrze, a ty?

— Ja, jak widzisz tyję ciągle — i zaczęła śmiać.

— Ale — ciągnęła dalej — co się dzieje z tobą? Nie widać cię nigdzie.

— Wyjeżdżałam.

— Jeździłaś może przypadkiem na pogrzeb tej biednej Corinny?

Florina mówiła to z miną wesołą jak zwykle, jak gdyby się pytała o jakie drzewko, lub ptaszka.

Ale Paulina zdziwiona zawołała:

— Corinny? jakiej Corinny?

— No, twojej, mojej, naszej przecie Corinny Destremont!

— Corinna... — szepnęła znowu Paulina. — Cóż?

— No, umarła.

— Umarła!

I Paulina doznała takiego wzruszenia, że zachwiała się na siodle.

— Jakto! ty nie wiedziałaś nic?

Teraz już Florina przestała się śmiać, bo spostrzegła, że Paulina tak pobladła, jak gdyby zemdlać miała.

W istocie Paulina była tak przerażona i zdziwiona tą niespodziewaną wiadomością, że zsunęła się z siodła i usiadła na gazonie obok przy drodze.

Florina miała dobre serce.

— Mój Boże! — zawołała — ja nie wiedziałam, że żyłyście w takiej przyjaźni, i mówiłam to sobie tak obojętnie! — I zawołała swego służącego, który jechał niedaleko za nią na rosłym koniu irlandzkim, dając mu konia do potrzymania, a sama zeskoczyła lekko z konia na ziemię.

Paulina doznała takiego wzruszenia, że siedziała nieruchoma, blada, drżąc cała.

— Na szczęście — rzekła Florina — jesteśmy nie-

daleko d'Armenonville — a zwracając się do służącego dodała: — Zaprowadź konie do pawilonu i przyjedź powozem.

W dziesięć minut potem Paulina wraz z Floriną siedziały w małym saloniku pawilonu. i Paulina uspokoiła się trochę po wzruszeniu jakiego doznała.

— Jakto? — mówiła znowu Florina — ty nic nie wiedziałaś?

— Nie. Ale kiedyż umarła?

— Przed tygodniem. Zrobiło to na nas wielkie wrażenie, gdy nam to opowiadał poczciwy baron Hounot, nie uprzedziwszy nas przedtem o niczem. Otóż, jedliśmy wówczas kolację u Brébanta. Wiesz, że teraz tylko tam się jada, gdy kto ceni choć trochę sam siebie. Mój głupi hollandczyk był piany i plótł głupstwa. W tem wchodzi baron i pyta nas: „Kto z was jedzie na pogrzeb Corinny?"

— Jakiej Corinny?

— Corinny Destremont.

Kobiety krzyknęły zdziwione, mężczyźni spojrzeli na siebie.

— Więc ona umarła? — rzekł mój hollandczyk.

— Ależ głupcze — rzekłam do niego — przecież grzebią tylko ludzi umarłych. — Wtedy baron wyjął dziennik z kieszeni i rzekł do nas:

— Czytajcie! ci którzy chcą jechać na pogrzeb, niech jadą pociągiem do Auxerre. Margrabia B. kazał jej ciało zabalsamować. Odłożono pogrzeb. Margrabia jak zawsze ekscentryczny, zajmuje się pogrzebem i będzie szedł za trumną jak gdyby to była jego żona. No, jeżeli ten kiedy się ożeni na prowincji, to będzie coś szczególnego...

Paulina Régis słuchała Florinę osłupiała.

— Ale powiedz mi — rzekła nareszcie — gdzie umarła?

— W Burgundji.

— Cóż się jej stało?

— Zabiła się!...

— Corinna zabiła się?!...

I Paulina pytała sama siebie, czy nie była igraszką snu strasznego.

— Ależ jaka ja niemądra! — mówiła dalej Florina. — Mówię ci, że Corinna umarła, że się zabiła... a nie mówię jakim sposobem.

I Florina zadzwoniła na chłopca, dodając:

— Jest to szeroko opisane w gazecie sądowej. Doprawdy, już tyle razy opowiadałam to zdarzenie, że wolę, abyś je sobie sama przeczytała, moja droga.

Chłopak wszedł.

— Czy macie gazetę sądową z wtorku zeszłego? — zapytała Florina... — Tak, to przeszłego wtorku byliśmy na kolacji o Brébanta.

— Musimy mieć — odrzekł chłopak — bo zwykle się składa. — I wyszedł.

W istocie, w kilka minut potem powrócił, niosąc gazetę, którą Florina podała Paulinie.

Paulina, drżąc cała, zaczęła czytać pod rubryką: Departamenta. Wypadki straszne:

„Czytamy w dzienniku l'Yonne co następuje:

„Urocza nasza okolica, tak spokojna zwykle, przeznaczona jest tego roku do strasznych katastrof.

„Nieszczęście straszne, nowe nieszczęście, przeraziło wszystkich w powiecie Coulanges nad rzeką l'Yonną.

„Wszyscy znają markiza B., tego młodego i ekscentrycznego szlachcica, który tak dokazywał roku zeszłego na zabawie magicznej.

„Markiz jest majętnym, dowcipnym, z dawnej familji, zupełnie wolny, i z tych różnych tytułów, przekracza trochę surowe zwyczaje życia prowincjonalnego.

„Markiz nudził się w swym zamku Rochepinte i chciał rozerwać tę samotność.

„Pewnego poranku, wieśniacy i liczni dzierżawcy bogatego markiza spostrzegli zamieszkałą w zamku bardzo piękną osobę, którą służba nazywała panią, a markiz moja duszko.

„Piękność ta należała jak się zdaje do paryskiego półświatka.

„Prowincja była oburzona tym skandalem.

„Markiz śmiejąc się wydał wielki bal i sprosił całą szlachtę burgundzką.

„Cała młodzież była na tym balu.

„Pani robiła honory domu z wielkim taktem.

„Utrzymują, że była bajecznie bogatą i że właśnie dnia tego ubrana była w brylanty wartości przeszło dwa kroć sto tysięcy.

„Ale markizowi B., wszystko się uprzykrzy prędko.

„Bal się skończył, goście odjechali, a on pożegnał swoją duszkę, która wkrótce odjechała w tej sławnej karecie, o której tyle mówiono w Auxerre, zaprzężonej czterma irlandzkiemi rumakami.

„Koło północy furman i lokaj, którzy towarzyszyli Corinnie Destremont (było to imię tej pani) zatrzymali się chwilę w szynkowni w Coulanges, u ojca Coquille. Ten zauważył, że furman był już trochę piany.

„Kareta odjechała w kwadrans później.

„Co się stało potem? O to co zostanie może wieczną tajemnicą.

„Droga z Coulanges do Auxerre prowadzi przez okolice puste. Na prawo las, na lewo przepaść głęboka przeszło sto metrów, brzegiem której droga ciągnie się po raptownej pochyłości.

„Na tej pochyłości jest skręt bardzo przykry, o którym już wiele krzyczano, a któremu do tej pory jeszcze nic nie zaradzono.

„Z jakiego powodu konie właśnie uniosły w tem miejscu? To właśnie nie wiadomo.

„Zdaje się, że powóz, lecący z szybkością po tej pochyłości, na skręcie przełamał poręcze. Pani ta, furman, lokaj i konie wpadły w przepaść, i wszyscy zginęli.

„Nazajutrz znaleziono powóz zdruzgotany, walizy porozrzucane, furmana i lokaja zabitego na miejscu. Nieszczęśliwa Corinna Destremont, która zdaje się, że żyła jeszcze kilka godzin, sądząc o tem po śladach krwi, które zostawiła na miejscu, została straszliwie zeszpeconą.

„Nareszcie na drodze znaleziono również kałużę krwi, która się każe domyślać, że to straszne zdarzenie nie było wynikiem samego wypadku.

„Śledztwo jest w toku, a my musimy się wstrzymać od wszystkich domysłów.

„Zdaje się zresztą, że brylanty pani Destremont zniknęły.

„Markiz B. zawsze ekscentryczny, kazał przywieźć do siebie zwłoki nieszczęśliwej Corinny...

„Lekarze P. i M. z Auxerre zostali wezwani pospiesznie i zajęli się zabalsamowaniem zwłok.

„Cała służba w zamku została przystrojona w żałobne szaty, a markiz w grubej żałobie zamyśla wyprawić swej kochance suty pogrzeb..."

Paulina czytała te szczegóły z coraz większem wzruszeniem, nagle krzyknęła przerażona, upuściła dziennik i upadła zemdlona na ręce zmięszanej Floriny.

Opisawszy to zdarzenie przy wąwozie „człowieka zmarłego" gazeta sądowa donosiła dalej z dziennika l'Yonne: „Jest to już trzeci z kolei wypadek, który od

miesiąca nawiedza okolicę Coulanges. P. de Maugeville zamordowany, cygan Munito zabity przez pana de Villenave, nareszcie kochanka markiza B. kończąca w sposób tak tragiczny, oto jest bilans z tego miesiąca tej okolicy zwykle tak spokojnej i zajmującej się tylko zbiorem i wyrobem wina.“

To były te słowa: „P. de Maugeville zamordowany“ które pojawiając się nagle w zgłoskach ognistych, spaliły oczy Pauliny Régis.

Paulina zemdlała.

Florina przestraszona wołała o pomoc. Cała służba się zbiegła.

Przez kilka godzin Paulina była jakby nie żywa i dopiero pomoc lekarza wezwanego pospiesznie z Neuilly zdołała jej przytomność powrócić.

Ale była w strasznej gorączce, plotła od rzeczy, i nie poznawała nawet Floriny.

Florina kazała ją przenieść do powozu, odwiozła do jej domu i położyła do łóżka.

Siedząc koło niej mówiła naiwnie sama do siebie:

— Nigdy nie byłabym myślała, że Paulina kochała tak bardzo Corinnę Destremont.

. . . .

Paulina przez czterdzieści osiem godzin leżała w okropnej gorączce.

Po upływie tego czasu zupełnie przyszła do siebie.

Florina ciągle była przy niej.

— Moja droga — rzekła woltyżerka — zdaje mi się, że już niebezpieczeństwo przeszło i że mogę cię pożegnać. Ale doprawdy, zanadto się martwisz śmiercią tej biednej Corinny, której nie znałaś tak jak ja, bądź pewna. Ona z pewnością nie byłaby tak rozpaczała za tobą, gdybyś była umarła!

Paulina nic nie odpowiedziała.

Ale oczy jej czerwone i suche dotąd zalały się łzami, a usta spalone szepnęły z cicha: — Manuel!

II.

Natury słabe i delikatne często bywają wytrzymalsze.

Paulina leżała nieprzytomna w gorączce przez dwa dni, lecz potem przyszła raptownie do siebie.

Była jeszcze ciągle wprawdzie bardzo zrozpaczoną, ale takie boleści bez nadziei to często dusze hartują.

Paulina mówiła do siebie:

— Manuel zmarł. Jak i dlaczego zmarł, to tylko ja wiem.

Przypomniała sobie o wszystkim co Corinna mówiła jej o Leonie Villenave.

Pamiętała także dobrze o roli ohydnej, którą Corinna chciała, aby ona odegrała.

Nareszcie czego nie mogła zapomnieć, to radości nadzwyczajnej Corinny, w dniu, w którym spostrzegła p. de Villenave w oknie cyganki Dolorés. Ulica Caumartin, jakeśmy już to wspominali, należy trochę do uliczek miast prowincjonalnych, w których zwykle służba rozmawia ze sobą.

Otóż pokojowa Pauliny Régis, dyskretna co do siebie i do swej pani, lubiła dowiadywać się o innych. Widziała jak Corinna dostrzegłszy Leona w oknie, pobiegła jak szalona mówiąc: — Potrzebny mi jest Villenave.

Od tej chwili, pokojówka, która nazywała się Jenny i była dosyć przebiegłą, postanowiła sobie, że musi się dowiedzieć koniecznie dlaczego p. de Villenave, którego szukano wszędzie, znajdował się w domu naprzeciwko.

To, czego panowie nie mogą się dowiedzieć czasem nawet za pieniądze, słudzy dowiadują się za darmo.

Stróż domu, w którym mieszkała Dolorés, proszony przez lokaja kochającego się w Jenny, powiedział jej wszystko.

I tym sposobem Jenny dowiedziała się o porwaniu pana de Villenave przez Corinnę, która zawiozła go do siebie i tam trzymała przez czas jakiś.

Paulina wtedy była bardzo niespokojna, gdyż obawiała się jeszcze bardziej pana de Villenave dla swego ukochanego Manuela, jak Corinny i jej przybiegłych wyrachowań.

Ale Jenny uspokoiła ją wówczas mówiąc:

— P. de Villenave jest u Corinny, a jeżeli odzyska zdrowie, to nie tak prędko.

Dlatego Paulina uspokoiła się trochę aż do dnia, w którym dowiedziała się z ust Floriny, woltyżerki, o strasznej śmierci Corinny, a z gazety sądowej o końcu tragicznym Maugeville'a.

Paulina przychodziła do siebie z sercem rozdartem, ale duszą silną. A myśląc o Maugevilleu, mówiła do siebie: — O! pomszczę go z pewnością!

Teraz pewną była, że Villenave musiał być wspólnikiem Munita, nim stał się jego mordercą.

I to było także widocznem dla niej, że śmierć Corinny nie była obcą panu de Villenave.

— Więc ten nędznik miałby tryumfować, i ożenić się z panią de Planche Mibray? O! tego nie dopuszczę! — mówiła do siebie Paulina — to być nie może!

Ponieważ niemożliwem było, aby domyśleć się mogła, że Munito zabił Maugeville'a dla innego powodu, jak tylko dla pieniędzy, jasnem było dla niej, że pieniądze te musiała mu obiecać Corinna i p. de Villenave. A tenże pozbywszy się teraz dwóch swoich wspólników, będzie zbierał owoce swych ohydnych zbrodni.

— Tak — mówiła do siebie Paulina — jestem tylko biedną grzesznicą, a pani de Planche-Mibray kobietą światową, ale będę mówić do niej z taką szczerością i przekonaniem, że mnie uwierzy z pewnością.

To postanowienie jej było nieodwołalne.

— Jenny — rzekła do pokojówki — pakuj me walizy pospiesznie. Wyjeżdżamy jutro rano.

— Ależ pani — odrzekła pokojówka — pani jeszcze bardzo osłabiona...

— Mniejsza o to.

— A jak pani znowu zachoruje?..

— O, nie braknie mi sił... obaczysz!...

I Paulina otarła łzy, mówiąc jeszcze:

— Wiesz jak kochałam Maugeville'a!

— O! tak wiem! — rzekła wzruszona pokojówka.

— A więc! on umarł, ja muszę go pomścić! — odrzekła Paulina.

Jenny nic już nie odpowiedziała i zaczęła wypełniać rozkazy pani.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Redaktor-Wydawca: W. Maniecki.